

Z LEKTUR ZAGRANICZNYCH

Publikacji z zakresu bibliotekarstwa oraz informacji – i to drukowanych – jest teraz coraz więcej, a nie mniej. Jeżeli to ma być syndrom kryzysu profesji, dyscypliny, a także piśmiennictwa, to niech żyje kryzys! A już inna sprawa, że jednocześnie pojawia się po kilka książek o tym samym.

Tym razem starałem się wybrać do prezentacji teksty, które traktują głównie bądź także o ponadusługowej ofercie bibliotek. Wygląda bowiem na to, że świadomość potrzeby takiej oferty i międzybibliotecznej współpracy na jej rzecz, rośnie. Ale na początek – o czymś zupełnie innym.

[1] CZASOPISMA NAUKOWE DZIŚ I POJUTRZE [*****]

Trzeba bowiem koniecznie zwrócić uwagę na znakomity zbiór publikacji (*The future...* 2009) autorów z Anglii, Australii, Kanady i USA, poświęconych czasopismom naukowym. Bez mitów i (częstej) nonszalancji, pracownicy nauki oraz wydawcy kreślą aktualny i przyszły wizerunek naukowego czasopiśmiennictwa, w kontekście potrzeb burzliwie rozwijających się nauk. Jeden z autorów, Joss Saunders, znawca prawa autorskiego (obecnie Uniwersytet w Oxfordzie), był przez jakiś czas wykładowcą w Uniwersytecie Warszawskim.



Ocena tendencji w czasopiśmiennictwie naukowym nie wskazuje na eliminacyjną inwazję elektronizacji – wbrew temu, co się na ogół opowiada. Na ok. 25 tys. angielskojęzycznych czasopism recenzowanych, 65% ma formę dwuwersyjną, a reszta prawie w całości – drukowaną (wyłącznie elektronicznych jest niewiele), mimo że druk nieco spowalnia i ogranicza obieg. Charakterystyczne jest obecnie wieloosobowe współautorstwo i zdecydowany wzrost objętości artykułów, chociaż nie wiadomo, czy jedno wynika z drugiego. Czasopisma elektroniczne wcale nie są tańsze: koszt 1 artykułu wynosi niezmiennie 3400 \$. Przy pełnej formule bezpłatności, kiedy nikomu nie płaci się za nic, koszt można zredukować do 730 \$, ale pozostaje pytanie, kto ma taką sumę zapłacić i kto będzie wtedy pisał teksty.

Pięknoduchy powiadają, że płacić ma autor, lecz to jest szaleństwo: ekonomia ustępuje miejsca anty-ekonomii – z bulwersującą konstatacją, że autorzy tekstów naukowych też muszą coś jeść. Dodam, że my już takie praktyki poznaliśmy w skali ogólnopaństwowej, no i nie ma za czym tęsknić. W rezultacie nadal dominuje komercyjny lub półkomercyjny obieg czasopism naukowych, bo zmianami nie są zainteresowani wydawcy ani autorzy, jak też nie ma stosownych reguł wykonawczych.

Open Access – zdaniem różnych autorów – przerzuca opłaty na stronę autorską i to całą sytuację stawia na głowie. Racjonalniejsze opinie sugerują, żeby za wszystko (więc także autorom) płaciła instytucja sprawcza, czyli uczelnia, ale to nie funkcjonuje dobrze ani nie motywuje do publikowania. Wydawnictwo Oxford Press (przykładowo) wydaje w tym trybie 7% czasopism.

Forma Open Access, czasem sygnalizowana jako demokratyczna, ma też poważne konsekwencje negatywne: wyklucza kontrolę jakości, więc pełno tam śmieci, a użytkownicy czują się zwolnieni od ujawniania przywoływanych źródeł. Kwitnie pseudonaukowe piractwo.

Natomiast jest to ewentualnie szansa na wprowadzenie do obiegu materiałów niepublikowanych, oczywiście też bez kontroli jakości i głównie temu służą repozytoria bibliotek uczelnianych. Przedmiotowe, dziedzinowe albo ogólnoinstytucjonalne. Jednak – z przywołanych już powodów – nie cieszą się estymą autorów ani odbiorców i na razie nie stanowią dla czasopism żadnej konkurencji. A przyszłość trudno przewidzieć.

Istota sprawy zawiera się w przedpublikacyjnym recenzowaniu artykułów, zanim trafią do druku w czasopiśmie naukowym – czego nie ma w archiwizacji repozytoryjnej i w ogóle Open Access, bo recenzentom trzeba zapłacić na pewno. I wtedy autorom nie? A to jest główny czynnik, utrzymujący poziom publikacji. Też zresztą czasami zawodny. Mnożą się bowiem recenzje grzecznościowe, przepuszczające knoty, ale są również recenzje bezzasadnie dyskwalifikujące, od których nie ma odwołania. W tym tomie przeważają opinie, że trzeba te wewnętrzne recenzje podawać do publicznej wiadomości w sieci, co zredukowałoby oceny zarówno przyjemne, jak i prześladowcze.

W zrozumiałej trosce o naukowy poziom czasopism i publikacji, wymyślono oceny parametryczne, w tym Impact Factor oraz szereg innych, a wszystkie oparte na intensywności cytowań i stosowane, mimo mnóstwa wad. Z góry však wiadomo, że najczęściej cytowane są teksty przeglądowe i że najwyższe wskaźniki mają czasopisma wąskozakresowe. W ogóle zaś popularność określają cytowania, a nie jakość.

Bywa, że autorzy nie czytają cytowanych tekstów, autoprzywołania często przekraczają granice przyzwoitości, czyli 12% ogółu cytowań, no i na straconej pozycji są teksty spoza angielskiego obszaru językowego. Robi się z tego swoisty

akademicki socjalizm, bo wszak nie na cytowaniach opiera się wartość nauki. Nowe wskaźniki w niczym nie są od dotychczasowych lepsze. Wprowadzony dla europejskich nauk humanistycznych parametr ERIH – obecnie HERA – nie uwzględnia czasopism m.in. z Polski, z Rosji oraz ze Słowacji. Nie jesteśmy wystarczająco zachodni ani dostatecznie egzotyczni, a w dodatku posługujemy się językami, których moi światu naukowego nie rozumieją.

Tym bardziej, że na Zachodzie publikacje naukowe zdominowało 12 wielkich korporacji i to one określają systemy wartości oraz reguły ewaluacji. Nie jest dla nich konkurencją Europa Wschodnia, nie są nawet Chiny, gdzie jest 8 tys. czasopism naukowych (nie tylko po chińsku), ale nie ma edytorów niezależnych i wszystko jest pod kontrolą państwa, a państwowe nigdy nie jest konkurencyjne. Tym bardziej nie jest konkurencyjna Afryka, ze względu na kiepski stan nauki oraz fatalną dystrybucję czasopism. Wprawdzie w RPA i w Nigerii lansuje się sieciowy obieg tekstów naukowych, z państwową dopłatą autorom, ale to jest raptem 50 \$ za tekst, więc zachęta dosyć symboliczna. Zatem aktualny stan edytorstwa naukowego utrzyma się nadal i małe, niezależne oficyny wydawnicze oraz czasopisma albo znikną, albo zostaną wchłonięte przez firmy duże.

W tle tych wszystkich problemów publikacyjnych i czasopiśmienniczych pozostaje prawo autorskie, kiepsko chroniące interesy nadawców, zwłaszcza w obiegu sieciowym oraz w skali międzynarodowej, bo w różnych krajach reguły bywają odmienne. Próbuje się skrócić czas ochronny do 14 lat, a bieżące publikacje drukowane pojawiają się w sieci najczęściej po półtora roku. Panuje szokująca tolerancja wobec nieuczciwego wykorzystywania cudzego dorobku naukowego i wręcz bolszewicka awersja do płacenia za dokonania naukowe.

[2] BIBLIOTEKARSTWO NA ŚWIECIE [****]

Ciekawe, chociaż jakościowo nierówne, omówienia bieżących problemów bibliotekarstwa światowego, zawiera tom (*Bibliotecnoje*, 2009), przygotowany przez Bibliotekę Państwową w Moskwie – z dominującym udziałem Iriny Bagrowej, którą już w PB nieraz miałem okazję przedstawiać. Nierówność bierze się stąd, że obok wypowiedzi znakomitych, są tam też teksty fatalne, autorstwa niektórych specjalistów zagranicznych. Poza tym, nie zawsze wiadomo, kiedy tekst – sygnowany czyimś nazwiskiem – stanowi przekład, a kiedy omówienie poglądów. To istotne różnica i w publikacjach naukowych tak być nie może. No i zmorą jest prezentacja obcych nazwisk wyłącznie w rosyjskiej transkrypcji: ustalenie jak naprawdę nazywają się osoby mniej znane, było dla mnie zadaniem karkołomnym.

Ocena udziału rozmaitych rządów w polityce bibliotecznej nie budzi entuzjazmu. W różnych krajach są odmienne, ale zazwyczaj ograniczone, programy państwowego dofinansowania bibliotek oraz granty; czasem bibliotekom przyznaje się prawo zwiększonego zarabkowania i uwalnia od podatków – ale o żadnych priorytetach nie ma mowy. Więcej uwagi przywiązuje się do przedsięwzięć informacyjnych, głównie jednak dotyczących Internetu. Natomiast społeczna absencja w elektronicznym obiegu informacji mało kogo interesuje.

Brakuje też nowoczesnego prawodawstwa i próby implementacji scalonych ustaw bibliotecznych (wszystko w jednym przepisie) nie kończą się sukcesami. W wielu krajach (Francja, Hiszpania, Niemcy, Włochy) w ogóle takich ustaw nie



ma. W większości są odrębne postanowienia, dotyczące prawa autorskiego – z zasady mało efektywne – a bywają też osobne ustawy o bibliotekach narodowych.

Siłą rzeczy, to na bibliotekach narodowych (najczęściej przyporządkowanych resortom kultury) skupia się ewentualne biblioteczne zainteresowanie rządów. W efekcie buduje się dla nich nowe gmachy aż w 23 krajach, ale już zwiększanie środków na działalność nie należy do częstych zwyczajów. Prawie wszystkie więc zmagają się z biedą i szukają funduszy na własną rękę; potrzebnych tym bardziej, że coraz trudniej archiwizować zasoby narodowe, szczególnie elektroniczne oraz poszerzać ofertę – jest teraz taka tendencja – w taki sposób, żeby korzystających było możliwie dużo. Ma to oczywiście także podtekst PR-owy. Jednak nowe funkcje bibliotek narodowych trzeba dopiero wypracować, modyfikując niektóre zadania tradycyjne.

Aktualnie redukuje się rola bibliotek narodowych jako pośredników w międzybibliotecznym udostępnianiu zasobów w obrocie międzynarodowym. Ten obieg, zdominowany już przez materiały elektroniczne, opiera się teraz na wymianie bezpośredniej i nierzadko bezzwrotnej. Ewentualne ograniczenia mogą wynikać z warunków licencyjnych, ale z tym kłopotem każda biblioteka musi radzić sobie indywidualnie. Odstąpienie od warunku narodowobibliotecznego pośrednictwa zdecydowanie usprawniło wypożyczenia w skali globalnej.

Są ponadto w tym tomie przynajmniej dwa bardzo ciekawe teksty autorów spoza Rosji. Znany (z publikacji po angielsku) chiński bibliotekoznawca z Szanghaju, Wu, charakteryzuje co ważniejsze tendencje we współczesnym bibliotekarstwie, zaobserwowane w różnych krajach, ale głównie w: Chinach, Japonii oraz Singapurze. Wszędzie intensyfikuje się wielozakresowe nastawienie na publiczność i to także na użytkowników indywidualnych (zamiast na masy) oraz mnożą się udogodnienia w korzystaniu z bibliotecznych usług. W związku z tym biblioteki wypracowują konieczny, jakkolwiek trudny, balans pomiędzy wartością (jakością) a użytkowością gromadzonych i/lub transmitowanych zasobów. Z tą intencją wydłuża się też czas otwarcia bibliotek, zwykle do 70-90 godzin tygodniowo (w Polsce Wu nie był), a są też – np. w Japonii – biblioteki otwarte całonocowo.

Wszystko wskazuje na to, że piśmiennictwo nadal jest podstawą edukacji, chociaż oczywiście Wu nie kwestionuje wartości zasobów elektronicznych. Tyle, że są drogie, na co główne remedium stanowią międzybiblioteczne konsorcja. Koszty obniża też centralne opracowanie materiałów, jak powiada: powszechne. No i zaskakująca jest obserwacja, że wielkie firmy komercyjne, zamiast kupować informacje, wolą tworzyć własne biblioteki, bo to im wychodzi o wiele taniej.

Jest jednak z tym tekstem mały kłopot: niektóre wypowiedzi są wzajemnie niekompatybilne. To właśnie rezultat zasygnalizowanej praktyki. Część tekstu bowiem, to translacja, a część – omówienie. Najwyraźniej mało precyzyjne.

Z kolei jeden z głównych koncepcjonistów Biblioteki 2.0, Jack M. Maness (może ktoś zapamiętał jego tekst *Library 2.0 theory*, opublikowany w czasopiśmie „Webology” 2006, no. 2), prezentuje w tomie jej istotę, która polega na adaptacji pomysłu Web 2.0 do bibliotecznej praktyki – z bibliotekarzem jako inicjatorem relacji oraz dialogów i z możliwością archiwizowania wytwarzanych zapisów dialogowych. Główny sens sprowadza się do interaktywnej wymiany opinii przez sieć, z bibliotecznym wsparciem i koordynacją.

Obok różnych czatów i blogów interaktywnych, Maness szczególnie ceni grupowe generowanie informatorów typu WIKI, zbiorowe tworzenie metadanych i słów kluczowych (tagowanie), oraz – jednak dostępne tylko w trybie subskrypcji – kanały nowości, typu Really Simple Syndication. Charakteryzuje też, coraz popularniejsze, sieciowe systemy społecznościowe, w rodzaju MySpace. Jego zdaniem, praktyka sieciowej Biblioteki 2.0 ma szanse na szersze rozpowszechnienie. Tom dopełniają charakterystyki (z tabelami) różnych bibliotek narodowych – szczególnie British Library – oraz obowiązkowych archiwaliów sieciowych. Jednak o polskiej BN jest tam tyle co nic.

[3] BIBLIOTEKI PUBLICZNE I SZKOLNE W KOOPERACJI [**]

O potrzebie i formach środowiskowej współpracy bibliotek publicznych ze szkolnymi napisała całą książkę konsultantka (instruktorka) biblioteczna ze stanu Illinois (Squires, 2009), z całkiem słusznym założeniem, że współpracować należy. Jednak już implementacja tej zasady jest zreferowana sloganowo, bez niezbędnej produktywności, a znaczną część tekstu stanowi autoprezentacja, niekoniecznie ciekawa i nie wiadomo, dlaczego wydawnictwo na to przystało. Jak i na przytłaczające gadulstwo oraz na tonację jak dla przygłupów – tak więc z dużym trudem wyławiam wątki co rozsądniejsze.

Autorka nie bez racji zakłada, że inicjatywa współpracy powinna wyjść od biblioteki publicznej, lecz od razu zamraża pomysł opinią, że źle współpracują biblioteki małe, a najlepiej – oddziały dla dzieci. Sęk w tym, że w małych miastach i na wsi biblioteki na całym świecie są niewielkie i żadnych oddziałów dla dzieci tam nie ma. No więc co?

Porada jest też taka, żeby pierwsze projekty współpracy były skromne, poprzedzane wizytami w szkołach, a potem można je wzbogacać i rozbudowywać. Sugerowany repertuar nie rzuca jednak na kolana. Wspólne spotkania autorskie i dyskusyjne, postlekcyjny program wspierania nauki własnej w bibliotece publicznej, oferta sieciowa (czaty, blogi, wiki) dla uczniów i ewentualne dopóżyczanie bibliotekom szkolnym materiałów do niektórych lekcji. Zatem żadnych świeżych pomysłów tu nie ma. Jest natomiast opinia o łączeniu bibliotek szkolnych z publicznymi – rzadko pożytecznym (ale te rzadkie pożytki nie są skonkretyzowane), przeważnie zaś w skutkach fatalnym, aż do dezorganizacji funkcjonowania bibliotek w ogóle.



[4] NOWOCZESNY BIBLIOTEKARZ SZKOLNY [***]

Znacznie lepsza jest natomiast publikacja – tym razem angielska (*The innovative*, 2009) – charakteryzująca aspekty nowoczesności w nastawieniu i warsztacie pracy bibliotekarza szkolnego. Tu pomysłowość i związki z praktyką są wyraźnie dostrzegalne, m.in. za sprawą wmontowanych w teksty rozmaitych zadań praktycznych.

W Anglii (oczywiście nie tylko tam) nie wszyscy pracownicy bibliotek szkolnych to profesjonalni bibliotekarze. Ale nawet zawodowców ocenia się rozmaicie, bo istnieje spór – kto lepszy. Bibliotekarz menedżer, bibliotekarz przywódca (aranżer i lider działalności) czy fachowiec z rozległą wiedzą uniwersalną. Teoretycznie preferuje się model pośredni, lecz w praktyce nikt taki nie istnieje. Z punktu widzenia publiczności uczniowskiej z kolei, to powinien być głównie doradca, przewodnik i konsultant.

A czy jednocześnie postrzegany jako nauczyciel? Otóż ciekawe, ale w tym zakresie opinie są podzielone.

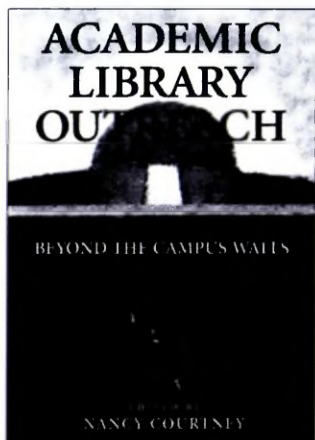


Biblioteki szkolne są oceniane kiepsko, zwłaszcza przez innych bibliotekarzy i przez uczniowskich rodziców. Niewiele można na to poradzić i wobec tego trzeba skupić się na pozyskiwaniu dobrej opinii dyrektora szkoły, bo od tego warunki funkcjonowania biblioteki szkolnej zależą w głównej mierze. Każda zmiana dyrekcji powoduje, że zabiegi trzeba powtarzać od początku, ale takie jest życie.

Z drugiej strony, trzeba doskonale rozpoznać publiczność uczniowską. Innego traktowania i innej oferty wymagają bowiem uczniowie utalentowani, a innej pomocy – uczniowie słabi; bywa, że trzeba wesprzeć ich w doskonaleniu czytania, a nawet języka (imigranci). W ogóle zaś, potrzebne jest otwarcie na innowacyjne pomysły i życzenia uczniów oraz w miarę możliwości: odpowiednie dostosowanie całego bibliotecznego programu.

Charakterystyczną cechą biblioteki szkolnej jest oczywiście bezpośrednie zaangażowanie w procesy edukacyjne – przez wspieranie lekcji oraz nauki własnej. To zadanie główne, ale biblioteka szkolna może też być głównym ośrodkiem szkolnej integracji, ponieważ funkcjonuje na rzecz wszystkich. Sprzyja temu zwłaszcza organizacja imprez i przedsięwzięć ogólnoszkolnych, ale także postawa międzyprzedmiotowego kooperatora – za sprawą znajomości wszystkich programów nauczania i całego rejestru lekturowego. Przy rozumnym i aktywnym postępowaniu, autorytet biblioteki w szkole może wzrosnąć nieporównanie.

[5] BIBLIOTEKI AKADEMICKIE W OTOCZENIU ZEWNĘTRZNYM [****]



O ważnym zadaniu przełamывania izolacji bibliotek akademickich, poprzez ofertę dla środowisk pozauczelnianych, traktuje zbiór tekstów (*Academic libraries*, 2009), przygotowanych przez amerykańskich bibliotekoznawców i uniwersyteckich bibliotekarzy. Nawiasem mówiąc, często obie role pełnią te same osoby, co u nas prawie się nie zdarza. Niewiele tu teoretyzowania, natomiast jest sporo sprawdzonych pomysłów praktycznych, no i dominuje przeświadczenie, że oddziaływanie uczelni i uczelnianych bibliotek na otoczenie zewnętrzne jest nakazem chwili.

Formy, sygnalizowane w tekstach, są dostosowane do realnych możliwości i wydają się produktywne. Proponuje się więc osobom spoza uczelni korzystanie z bibliotecznych zasobów piśmienniczych i elektronicznych, z tymi wyjątkami, kiedy wykluczają to postanowienia licencji – oraz z oferty

ponadusługowej. Zróżnicowanie zakresowe jest przy tym znaczne. Jedne biblioteki lansują najbliższe sobie obszary dyscyplinarne, inne nastawiają się na interdyscyplinarną różnorodność, niektóre zaś próbują wspierać pozauczelniane formy edukacji zdalnej.

Szeroko zakrojonym projektem, wspartym przez standaryzowane już programy oraz specjalne granty, jest współpraca ze szkołami, w ramach edukacji K-12 (szkoły podstawowe i średnie) oraz K-16 (szkoły podstawowe, średnie i studia licencjackie), gdzie w ogóle dąży się do kształceniowej spójności. Biblioteki akademickie proponują uczniom i studentom przysposobienie ogólnoedukacyjne – reguły nauki własnej i korzystania ze źródeł edukacyjnych – w ramach ogólnego przysposobienia do studiów akademickich. Ma to miejsce podczas jednodniowych, lub kilkurazowych odwiedzin w bibliotece akademickiej, przy czym wszyscy są zdania, że te wielokrotne, nawet jeżeli jednorazowo krótsze, są znacznie

efektywniejsze. Przy okazji uczniowie poznają uczelnię (całą), a nauczyciele szkolni dowiadują się, czego konkretnie uczelnia oczekuje od kandydatów na studentów.

Niektóre biblioteki uczelniane nastawiają się na szersze wykorzystanie zasobów specjalnych i wąskozakresowych. Reguły ochrony wprowadzić nie są liberalizowane, ale tam, gdzie materiałów prymarnych nie da się wprowadzić do obiegu, w dyspozycji pozostają fotokopie lub reprodukcje zeskanowane. Ponieważ publiczność ma nikłą świadomość takiej oferty, potrzebna jest rozbudowana informacja i skuteczna promocja. Niektóre biblioteki organizują specjalne wystawy objazdowe kopii zbiorów specjalnych. Te zaś, które dysponują wyspecjalizowanymi kolekcjami z „popularnych” zakresów – jak medycyna, prawo bądź ekonomia – aranżują szeroką transmisję takich właśnie materiałów.

Interesująco przedstawia się repertuar kooperacji z bibliotekami publicznymi. Biblioteki akademickie do nich oraz do ich filii (bliskich miejsc zamieszkania) kierują zamawiane przez mieszkańców teksty – jeśli krótsze, to zeskanowane i bezzwrotne. Dla chętnych organizuje się warsztaty biblioteczno-informacyjne, korzystając w naborze z rekomendacji i pośrednictwa bibliotek publicznych. Bywa, że biblioteki akademickie pomagają publicznym w tworzeniu kolekcji lokalnych, reprodukując materiały, pozostające własnością prywatną. Za wspólnie pozyskane granty, dla publiczności środowiskowej i akademickiej, organizuje się imprezy literackie i dyskusyjne, w tym bardzo często: spotkania z autorami miejscowymi. Nie pierwszy raz zauważam też, że biblioteki amerykańskie (tu: publiczne i akademickie razem) chętnie lansują program lekturowo-dyskusyjny *jedno środowisko – jedna książka*, proponując czytanie i komentowanie tej samej powieści w całym środowisku. To podobno ma wzięcie i sprzyja integracji.

Autorzy nie upierają się, że inicjatorem współpracy musi być biblioteka akademicka, ale jest jej zapewne łatwiej, ponieważ jest wieloletowa, a niektóre biblioteki publiczne są małe. Zawsze zaś trzeba szeroko rozglądać się za pozabibliotecznymi partnerami do współpracy i czasem trafiają się dziwni: pewnej bibliotece bardzo pomogła mieszcząca się w okolicy... baza lotnictwa wojskowego.

Jeden z programów (Biblioteka Uniwersytetu Channel Islands, Kalifornia) wydał mi się na tyle pomysłowy, że go tu w skrócie zreferuję. Otóż, dla dzieci z okolicy biblioteka (akademicka!) przygotowała składany program. Studenci anglistyki – kierunek literatura dla dzieci – podjęli się czytania dzieciom (w półgodzinnych interwałach) tekstów literackich, potem było malowanie obrazków i rysowanie kredą na chodniku przed wejściem (nie napisano, co rektor na to), a później odbył się występ studentów teatrologii. Ponieważ zaś dzieci przyszły z rodzicami, zorganizowano też prezentacyjny obchód uniwersytetu. W efekcie uczelnia lepiej rozpoznała otaczające środowisko, a członkowie tego środowiska lepiej poznali uczelnię.

I taki jest sens tych przedsięwzięć, z przekonaniem lansowany przez wszystkich autorów. Zresztą, także przez inne biblioteki akademickie w USA, na co wskazuje zamieszczona w tomie pokaźna, mimo że wybiórcza, bibliografia zagadnieniowa. Nastąpiła pora przełamywania barier i pędźmy czy później nas to również nie ominie.

[6] NIBY NAUKA, PSEUDOPRAKTYKA [*]

Tak znakomite połączenie znajomości teorii oraz praktyki to jednak rzadkość. Często bowiem rozważania teoretyczne w naszej dyscyplinie mają się do rzeczywistości jak kajak do sera, a znowu opinie praktyków nierzadko zdradzają całkowity rozbrat z piśmiennictwem. Jednak to, co zaprezentowała pani docent (po naszymu: adiunkt) z Uniwersytetu w Stawropolu (Gołowko, 2008), przerasta wszelkie granice fantazji. To są banialuki wręcz koszmarnie, przemocą wciskane w niby-rzeczywistość, lecz prawdziwą bibliotekę autorka widziała zapewne tylko



na fotografii. Na ogół nie sygnalizuję tutaj pseudo-naukowych knotów, jakkolwiek nie wiem, czy mam rację, bo w ogóle piśmienniczej mizerii jest w tej naszej dyscyplinie mnóstwo (choć nie aż takiej) i trzeba to konsekwentnie eliminować. Ale jest jeszcze inna okoliczność – wzajemnie wszak honorujemy swoje dyplomy. Otóż, na myśl, że ktoś taki mógłby u nas prowadzić wykłady, a biblioteki mogłyby zatrudniać tak „przygotowanych” absolwentów, można podupaść na zdrowiu. W końcu Stawropol to znane miasto – stamtąd pochodził M. Gorbaczow – z kilkoma uczelniami, a rosyjskie bibliotekoznawstwo wcale nie jest kiepskie, co konsekwentnie sygnalizuję, choćby i w tym przeglądzie publikacji. Jakim więc cudem zapłacił się tam ktoś taki, a „dzieło” wydała moskiewska oficyna, nie mam pojęcia.

Sugerując, że nowoczesne bibliotekarstwo wymaga elektronizacji, aktywnego marketingu i lepszych kontaktów z otoczeniem, autorka nie mija się z prawdą, ale te oczywistości są zreferowane w koszarnej nowomowie, jak z dawnych referatów politycznych. Słowotok i sloganiarstwo przekraczają wszelkie wyobrażenie, a cała „naukowość” sprowadza się do żonglowania nazwami. Ponazywać wszystko i naukowy efekt gotowy.

Poza tym jednak nonsens goni bzdurę. Jest więc opinia o „rosnącej roli nauk humanistycznych” (gdzie?) i o kosmizacji (globalizacji?) kultury, reklama jest pomyłona z promocją, oraz napisano, że czytelnictwo, książka i biblioteki przeżywają w Rosji hossę – chociaż ze wszystkich źródeł (także: przywołanych w tej książce) wynika coś zupełnie odwrotnego. Jeszcze większe zdumienie budzi sugestia, jakoby czytelnictwo rosyjskiej młodzieży rozwijało się dobrze, w kontekście sygnału (o kilka zdań dalej), że jednak dzieci tam od czytania stronią. No i trudno pojąć, gdzie i kiedy – jak to oznajmia autorka – Harold Lasswell miał sformułować teorię kulturalnych elit.

Zresztą właśnie do młodzieży odnosi się najwięcej autorskich pomysłów – z koncepcją (nie twierdzą, że błędną) tworzenia dla niej wyspecjalizowanych bibliotek. Ale Gołowko tak dba o szczegóły, że projektuje nawet... strój młodzieżowej bibliotekarki. Lekarstwem na zanik patriotyzmu młodzieży ma być lansowanie bogoojczyźnianej prozy – konkretnie Fadiejewa i Korniejczuka (!?) – oraz edytorstwo pięknych książek, a także popularyzacja postaci regionalnie zasłużonych, poprzez programy – przykładowo: *Osoby wybitne*, *Wybitni gubernatorzy*, względnie *Siostry miłosierdzia*. Zaś trafna idea łączenia bibliotecznej mediacji w komunikacji piśmienniczej i elektronicznej, zostaje sprowadzona do sytuacji, kiedy to dziecko wklukuje do Internetu życzenie „chcę przeczytać książkę, która mnie uczyni szczęśliwym” i prośba zostaje spełniona.

Spórą część książki zajmują scenariusze imprez, własnego autorstwa autorki, gdzie są didaskalia, role oraz dialogi, od których pęka wątroba. Jest więc projekt ceremonii *Jak dobrze, że jest biblioteka*, konkursu *Bibliotekarz roku*, apologetycznej imprezy o bibliotece *Od wieków przystrojona w gwiazdną koronę* oraz balu bibliotecznego *Strażnicy mądrości wieków*. A w eksperymentalną realizację tego wszystkiego zostali wmontowani nieszczeni studenci staropolskiego uniwersytetu, którym autorka zapewne nie zaufała nadmiernie, skoro podpowiada „technicznie”, żeby przed wypowiedziami „odetchnąć głęboko i przygryźć język, aż pojawi się ślina”.

To jest, być może, przypadek skrajny, ale przecież nie jedyny, kiedy (nie tylko tam) do tej naszej dyscypliny przyklejają się osoby – nieraz nawet z doktoratami – bez pojęcia o czymkolwiek i plotą bez końca, co im tylko przyjdzie na myśl, mno-

gością nazw i terminów pokrywając brak sensu. Otóż, trzeba to piętnować z całą stanowczością, jeżeli chcemy utrzymać się nadal w elitarnym ogrodzie nauki.

KSIĄŻKI OMÓWIONE

- [1] *The future of the academic journal* (2009). Red. Bill Cope, Angus Phillips. Oxford: Chandos Publishing, 391 s. ISBN 978-1-84334-416-2 [*****].
- [2] *Bibliotecznoje dieło za rubieżom: koniec XX – naczalo XXI wieka* (2009) [Red. Walentina Kaczalina]. Moskwa: Paszkow dom, 309 s. ISBN 978-5-7510-0418-7 [*****].
- [3] Tasha Squires [2009]: *Library partnerships. Making connections between school and public libraries*. Medford: Information Today, Inc., 203 s. ISBN 978-1-57387-362-8 [**].
- [4] *The innovative school librarian. Thinking outside the box* (2009). Red. Sharon Markless. London: Facet Publishing, 202 s. ISBN 978-1-85604-653-4 [***].
- [5] *Academic library outreach. Beyond the campus walls* (2009). Red. Nancy Courtney. Westport: Libraries Unlimited, 270 s. ISBN 978-1-59158-725-5 [*****].
- [6] Swietlana Gołowko (2008): *Biblioteczna diejatielnost': principy obnowlenija*. Moskwa: Izdatielstwo „Libereja-bibinform”, 127 s. ISBN 5-85129-175-3 [*].

Jacek Wojciechowski
Instytut Informacji Naukowej i Bibliotekoznawstwa
Uniwersytet Jagielloński

Tekst wpłynął do Redakcji 23 lutego 2010 r.